

# Kto jest kto?



314

Kończąca miniony sezon w warszawskim Teatrze Nowym premiera przedstawienia „Kto jest kto?” weszła na afisz podpisany już nazwiskiem Adama Hanuszkiewicza jako dyrektora naczelnego i artystycznego, ale pomyślana oraz przygotowana została jeszcze za dyrektury jego poprzednika, Bohdana Cybulskiego. I ten ostatni fakt – jak to się mówi – „widać gołym okiem”.

W czasach powszechnie przez krytykę głoszonej nijakości polskiego teatru dramatycznego, gdy dosłownie na palcach jednej ręki wyliczyć można sceny o jasno określonym obliczu, teatr przy Puławskiej miał jeden niezaprzeczalny walor – nie był do nikogo podobny. Czasem nas złościł, czasem rozczarowywał, jak choćby niedawną inscenizacją „Fausta” Goethego, a mimo to czekaliśmy na kolejne zaproszenie podpisane przez dyrektora Cybulskiego, bo zapowiadało ono spotkanie z teatrem niestandardowym. Nie miejsce tu na jego analizowanie, ale o kilku sprawach wspomnieć trzeba.

Był to teatr dla niektórych trochę staroświecki w swojej literackości, wyrastał z przekonania, że na początku było słowo pisarza, dramaturga, ale dzięki temu mogło tu powstać co najmniej kilka przedstawień, które wypadnie nam podkreślić w kronice polskiej sceny. Ta literacka opcja miała wpływ na staranny dobór repertuaru, w którym znalazło się wiele utworów zasługujących na szczególną uwagę. Nie zawsze bywały to dzieła pierwszej wielkości, choć grano tu i „Kordiana”, i szekspirowskiego „Peryklesa”, i „Edwarda II” Marlowe’a i – ostatnio – „Fausta” Goethego, a z dramaturgii współczesnej „Rzeźnię” i „Tango” Mrożka czy „Akt przerywany” oraz „Odejście Głodomora” Różewicza. Na obu scenach przy Puławskiej, a wcześniej także w staromiejskiej Piwnicy Wandę Warszawskiej, Cybulski prezentował utwory mało znane, zapomniane często w realizacjach prapremierowych. Grano tu młodzieńczą twórczość Gombrowicza i Witkacego (zresztą niedawno mieliśmy kolejną premierę tego pisarza), grano znanego w wąskim kręgu Francuza

Vitraca, a teraz zaproszono nas na przedstawienie „Kto jest kto”, w którym oglądać możemy dwie miniatury pisarzy rosyjskich: Nikołaja Urwancewa (1876–1941) oraz Michaiła Wołkonckiego (1860–1917), kompletnie zapomnianych w ich ojczyźnie, tak dalece, że nazwisk tych nie znajdziemy się w radzieckich encyklopediach, łącznie z teatralną.

W reżyserii Jana Różewicza i scenografii Ewy Łaniewskiej obie te miniaturki – pierwsza Urwancewa, „Jacques Noir i Henri Zagoubi, czyli Zagubiony paszport”, i druga Wołkonckiego, „Księżniczka afrykańska (Wampuka)” – stały się nader sympatycznymi bibelotami, którym uroku dodaje zabawne, kulturalne aktorstwo. Przedstawienie na czas kanikuły znakomite. Żarty sceniczne, bo tak chyba należałoby określić oba utwory, kiedyś były kpina z martwych konwencji teatralnych, z standardowych melodramatów i manierycznych oper, dziś są już czystą zabawą. Atoli w zaproszeniu do niej jest szczypta przewrotności. Witający publiczność Prezenter (Andrzej Preciós) mówi, że teatr przygotował dla swojej publiczności niespodziankę. Ulokowano ją w „antrakcie” między obu żartami scenicznymi. Przerwa, na którą nas poproszono do foyer, nie okazuje się jednak przerwą, choć na publiczność czeka proszona herbatka, lecz prezentacją monologu – opowiadania Antoniego Czechowa „O szkodliwości tytoniu” w wykonaniu Wojciecha Siemiona, czyli Niuchina.

Utwór jest oczywiście dość znany, i to w obydwu pozostawionych przez autora wersjach. Teatr wybrał tę drugą, napisaną podobnie jak pierwsza w konwencji żartu, ale – co przecież częste u autora „Wiśniowego sadu” – prowokująca już nie tylko do śmiechu. W programie przypomina się, że chodzi tu o „dramat istoty sponiewieranej w swej godności, potwornie rozdwojonej w swym życiu wewnętrznym – żalostnej i godnej litości, śmiesznej i tragicznej, budzącej zarazem sympatię i odrazę”. I tak ten monolog prezentuje Wojciech Siemion, może tylko z tym zastrzeżeniem, że jego Niuchin, owszem śmieszny i tragiczny, budzi

na pewno litość i współczucie, ale nie odrazę, raczej potrzebę wyciągnięcia pomocnej dłoni do człowieka skrzywdzonego przez los.

Największym walorem Czechowskiego monologu jest w tym wypadku jednak nie interesujące aktorstwo, choć pewnie niejedyn komplement byłby tu na miejscu, lecz sam pomysł umiejscowienia go w przedstawieniu między dwoma skeczowymi scenami, i po drugie, „danie go na antrakcie”. Zasady zostały jakby odwrócone. Pełnym głosem śmiejemy się w sali widowiskowej, w foyer, gdzie zazwyczaj odпочывamy po wrażeniach i emocjach, tym razem mamy wysłuchać „odczytu” na temat szkodliwości palenia.

Teatr Nowy miał zwyczaj z okazji swoich premier zapraszać widzów na otwarcie wystaw organizowanych w foyer oraz na koncerty własnego Zespołu Kameralistów „Camerata Vistula”. Spotkania te, rozpoczynające się na godzinę przed przedstawieniem, część zaproszonych traktowała jako ciekawostkę, część widziała w nich próbę dowartościowania czy też uświetnienia teatralnego święta. Chodziło pewnie i o jedno, i o drugie. Są jednak powody pozwalające się domyślać, że cel owych spotkań był o wiele poważniejszy. Przypominały nam one, że w myśl starej, niestety, często zapomnianej zasady, teatr rodzi się i obumiera w kręgu towarzyskim, jest bowiem, co oczywiście należy do truizmów, sztuką społeczną, tworzoną pospół przez aktora i widza. Warto o tym sobie przypomnieć, zwłaszcza w czasach, gdy tak wiele mówi się o złej kondycji naszego teatru, bądź wręcz jego kryzysie.

Przed ostatnim przedstawieniem nie było koncertu ani też otwarcia wystawy. „Protokół” nie przewiduje ich dla premier na Scenie Kameralnej. Towarzystwiej tradycji stało się jednak zadość. Teatr zaprosił nas na smutne spotkanie z Niuchinem, spotkanie przy filiżance herbaty. Dziękujemy.

MARIUSZ ZINOWIEC